Światło

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 1-go Lipca 1897. Nr. 26.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Herakliusz wiedział wprawdzie o tem, gdzie rozmaici kapłani chrześciańscy mieszkają, lecz nie mógł wątpić, iż skutkiem prześladowań chrześcianie zarządzili wszelkie środki ostrożności, aby swoich kapłanów i dyakonów zastawić przed niebezpieczeństwem.

Najprędzej jeszcze mógłby pochwycić jakiego znaczniejszego z pomiędzy chrześcian przy wejściach do katakumb, mianowicie przy drodze apijskiej. Wysłał przeto nazajutrz rychło rano kilku oprawców, którzy zaczaiwszy się przy grobowcu Korneliuszów, gdzie wejście do katakumb Kaliksta się znajdowało, po długiem czekaniu pochwycili starca, wyznającego, że jest chrześcianinem i dyakonem. »Lecz gdyśmy go chcieli zabrać,« tak opowiadał przywódzca oprawców Herakliuszowi, »rzucił się centuryon cesarskiej gwardyi przybocznej, zwanej dziećmi Herkulesa, człowiek ogromny i porwawszy mnie i Trankwilina za piersi, podniósł w górę, każdego jedną ręką, i uderzał nas plecami o siebie tak silnie, że mi wszystkie żebra trzeszczały; straciłem przytomność i upadłem na ziemię. Potem zabrał się do innych towarzyszów naszych i gdyby go uwięziony dyakon nie był wstrzymał, byłby ich ten potwór jeszcze gorzej pobił, aniżeli nas. W ten sposób uwolnił starego i odprowadził go aż do miasta.«

Herakliusz ganił swoich ludzi, którzy mu napróżno guzy i sińce na ciele od silnych rąk żołnierza pokazywali, strofując ich, że są tchórzami; w istocie jednak cała ta sprawa była przebiegłemu Grekowi bardzo a bardzo na rękę. Znał on cesarza i wiedział, że skoro przed cesarzem o nadzwyczajnej sile żołnierza opowiedzą, cesarz wpadnie w dobry humor.

— Skoro was zawołają przed cesarza, — zalecił im przeto, — natenczas przedstawcie jaskrawo, co was spotkało; inaczej na Jowisza nie ręczę, czy nie stracicie głów.

Gdy wieczorem nie bez pewnej trwogi do pałacu cesarskiego się udawał, kazał się owym oprawcom ustawić w przedsionku. Wszedłszy zaś do cesarza, natychmiast wytoczył przed niego skargę na owego żołnierza gwardyi przybocznej, który aresztowaniu dyakona Sewera przeszkodził.

Maksencyusz nie pogniewał się o to wcale na swojego centuryona, owszem cieszył się, słuchając, co ten olbrzym dokazywał. Nie dość na tem, co mu Herakliusz mówił, zawezwał jeszcze oprawców, ażeby z ich ust o wszystkich szczegółach się dowiedzieć.

— Muszę także przesłuchać oskarżonego, — zawołał, wysłuchawszy wszystkiego, — aby sprawiedliwy wyrok wydać.

Po niejakiej chwili wszedł Marcyalis, pozdrowił cesarza po wojskowemu i stanął, jak dąb, przed cesarzem, spoglądającym na niego z zadowoleniem wielkiem.

Herakliusz musiał powtórzyć oskarzenie. Podczas tego Marcyalis spoglądał na niego z uśmiechem a nakoniec z wielkim spokojem tak odpowiedział:

— Gdy te chłopy owego starca dobrowolnie puścić nie chcieli, odsunąłem ich nieco na bok. Lecz ani rąk ani nóg im nie połamałem.

— Ależ ci tu mówią, — odezwał się cesarz, — żeś dwóch z pomiędzy nich tak o siebie uderzył, iż dopiero po pół godziny przytomność odzyskali!

Owi dwaj oprawcy potwierdzili to, spoglądając nieszczęśliwem okiem na cesarza.

— W takim razie, — odpowiedział żołnierz ze spokojem, — widocznie uchwyciłem ich nieco silniej, niżeli zamierzałem. Tego nie można zupełnie akuratnie odmierzyć.

— Ha, ha, ha, — zaśmiał się cesarz, — oporządziłeś tych dwóch tak mocno, że inni uciekli.

— I dobrze, że się tak stało, — dodał żołnierz. — Inaczej bowiem byłbym niezawodnie stracił zimną krew a wtedy nie ręczę, czybym te żaby wszystkie nie był poprzerzucał za najbliższy mur ogrodowy.

Potrzeba było tylko spojrzeć na olbrzyma, ażeby uwierzyć, iżby mu to wielkiej pracy nie było sprawiło.

— Będę cię jednak musiał ukarać, — rzekł cesarz, — ponieważ przeszkodziłeś urzędnikom w wykonaniu obowiązku.

— Komu ja towarzyszę, ten jest pod moją opieką, odrzekł Marcyalis, a kto jest pod opieką jednego z przybocznej straży cesarskiej, ten też pozostaje pod opieką cesarza.

— Na maczugę Herkulesa! — zawołał Maksencyusz, — masz słuszność a tamte kpy niech ci będą wdzięczni za to, żeś im wszystkim karków nie poukręcał.

Na tem się skończyło a cesarz spoglądając z przyjemnością za oddalającym się centuryonem, rzekł:

— Na Jowisza! Stu takich olbrzymów nie zlęknie się całej legii Konstantyna.

Całe to zdarzenie wprawiło cesarza w dobry humor. Herakliusz, który to przewidział, przedłożył mu zaraz program nadchodzących uroczystości, drukowany złotemi literami na papierze koloru purpurowego. Maksencyusz zatopił się tak w czytaniu tego programu, że całkiem zapomniał o groźbie z wczorajszego wieczoru.

Od dnia, w którym pod bazylikę kamień węgielny podłożono, pędził Maksencyusz budowę z fabrycznym pośpiechem, jakby na przekorę tajemniczemu przeczucia, które mu mówiło, że nie zdoła budowy ukończyć. Rzeczywiście bazylika nie miała nosić imienia ani cesarza, ani syna jego; znienawidzony Konstantyn wykończył ją a połomność zna ją pod nazwą bazyliki Konstantyna. Tymczasem jednak od najrychlejszego ranka do późnej nocy setki niewolników i więźniów znosiły cegły i marmury, przygotowywały wapno, stawiały rusztowania przy budowie a nielitościwie świszczał bicz dozorców, uderzający nagie plecy robotników, gdy ci pod ciężarem twardej pracy prawie upadali. Niemal co dzień przychodził cesarz, aby swoją obecnością zagrzewać mistrzów.

Chrześcianie starali się złagodzić los swoich braci, do tych robót skazanych i nie szczędzili w tylu celu ani ofiar ani zachodów. My dzisiaj nawet domyśleć się nie możemy, jak wiele ofiarności żądano wówczas od wiernych i z jaką ochotą i poświęceniem w szlachetnem współzawodnictwie chrześcianie ofiary te ponosili.

Lecz chociaż się udało przebiegłością i przekupstwem to temu, to owemu więźniowi ulgę i pociechę przynieść, Rufinus nigdy niczego nie doznał; surowy rozkaz Herakliusza otoczył go nieprzebytą zaporą. Trzech więźniów przy-

gotowywało się dopiero do chrztu świętego; pewien kapłan zdołał w tajemnicy do nich się zbliżyć, ich ochrzcić a nawet Komunii św. im udzielić; jakże chętnie byłby Rufinus przyjął ten pokarm niebieski, lecz niestety było to rzeczą niemożliwą.

Jedyna pociecha, jaką córka sprawić mu mogła, w tem się mieściła, że dzień w dzień stawała godzinami na wysokich wschodach do Palatynu, naprzeciwko budowli, i ztamtąd ojcu przesyłała znaki, świadczące o jej miłości i wskazując na Niebo, męstwo jego wzmocnić usiłowała. Lecz dla niej samej były to chwile niewypowiedzianej boleści. Jakże jej serce się krwawiło, gdy była niemym i bezsilnym świadkiem poniewierania, jakiego ojciec jej doznawał; gdy widziała, jak obciążali go robotą! Jakże drzała na całem ciele, gdy laska lub bicz dozórcy krwawe pręgi na plecach ojca wyciskał, skoro mu sie zdawało, że więzień nie dość szybko pracę wykonuje.

Ani księdzu, ani dyakonowi, ani nawet cesarskiemu centuryonowi nie udało się przynieść niestety pomocy biednemu Rufinowi; natomiast nadeszła ulga, choć tylko na krótki czas, ze strony, z której jej nikt nie oczekiwał, — od Sabina, syna prefekta cesarskiego.

Spostrzegł on był, że Walerya co dzień na wschody Palatyńskie przybywa i znakami z ojcem się porozumiewa; ponieważ serce jego jeszcze całkiem nie było zepsute, ruszyła go taka miłość do ojca tem więcej, że to jego ojciec był sprawcą nieszczęścia Rufinowego i nielitościwie zemście swojej go poświęcił.

Będąc przełożonym nad dozórcami przy cesarskich budowlach, rozkazał Sabinus, aby się z Rufinem łagodniej obchodzono. Dopuścił nawet, że Walerya co dzień, choć tylko na moment, z ojcem rozmawiać mogła, pocieszyć go dziecięcą swoją miłością i podać mu niejedno dla wzmocnienia. Łzy dziękczynne, wylane przed Sabinem przez Waleryą, poruszyły mu serce; niespostrzeżony szedł za dziewicą, dowiedział się, że w biednej izdebce na strychu mieszkała i gdy następnego wieczoru miał przy kostkach szczęście, posłał jej rano przez zaufanego niewolnika część wygranych pieniędzy.

W nieobecności Waleryi przyjęła Irena wysłańca.

Od Sabina? Pieniądze? Jakże ten nędznik mógł się na to odważyć!

— Powiedz twemu panu, odpowiedziała, że Walerya żadnego podarunku od niego nie przyjmie. Czyż nie dosyć na tem, że ojciec jej jak podły zbrodniarz do najcięższej roboty niewolniczej i na śmierć został skazany, a ona sama została żebraczką? A teraz syn tego, który to sprawił, chciałby zbrodniczego czynu ojca jeszcze większą nikczemnością dopełnić. Jak dla ręki Sabina niedościgłe są gwiazdy, tak niedościgłą dlań jest i dziewica. Precz, precz z temi grzesznemi pieniędzmi, splamionemi krwią i łzami!

Sabinus obraził się, że podarunku jego nie przyjęto; w jego mniemaniu, ofiarując Waleryi ten podarunek, uczynił on był coś wielkodusznego.

Któż była ta niewiasta, opiekująca się Waleryą, która się odważyła w tak ubliżający sposób odrzucić jego dar? Nie wiele potrzebował pytać, aby się dowiedzieć, że to była wdowa po Kastulusie, matka Kandyda, chorążego w wojsku Konstantyna.

Natychmiast doniósł Herakliusz cesarzowi, iż odkryto matkę owego centuryona Konstantynowego, co niesie przeklęty sztandar, pod którym Konstantyn zwycięstwo po zwycięstwie odnosi. Na rozkaz cesarski zawleczono Irenę natychmiast do więzienia, oznajmiając zarazem, że przy otwarciu cyrku umrze razem z innymi chrześcianami, na śmierć skazanymi. Rocznica wstąpienia na tron cesarza była już za dwa dni; Irena tedy znajdowała się tuż przed męczeństwem.

W złości odwołał Sabinus wszelkie ulgi dla Rufina i owszem polecił dozórcom, ażeby się z nim jak najokrutniej obchodzili i bicza nie żałowali. Skutkiem tego, że towarzysze wyśmiewali się z nieudanego ożenku jego, gniew na

Rufina zwiększył się w Sabinie a rozognił się dopiero, gdy o słowach Ireny się dowiedział.

Nieszczęśliwe znaki, które wystraszyły cesarzową, nie pozostały bez wpływu na cesarza; Maksencyuszowe nadzieje w zwycięstwo osłabły.

Gdyby tak przepowiednie wieszczów okazały się mylne! — Gdyby liczne legiony jego pod murami Rzymu pobite zostały! Gdyby Konstantyn krok w krok postępując za zwycięzkiem wojskiem, wziął go żywcem do niewoli, zmusił go do postępowania w pochodzie tryumfalnym lub wydał zemście rozgniewanego ludu a w końcu w mamertyńskiem więzieniu udusić kazał.

Myśl, że to wszystko jest możliwe, napełniła cesarza trwogą i przerażeniem. Jeszcze może uciec i schronić się do Afryki; droga apijska, wiodąca na południe, była wolna. Lecz ze wstrętem wielkiego uporu odrzucił cesarz tę myśl; było mu przeznaczone, zostać w Rzymie.

Ażeby w spokoju coś stanowczego postanowić, odważył się na czyn okropny, straszny, za pomocą którego jednak podług zapewnienia czarnoksiężników i magów można było zmusić tajemnicze duchy, aby odchyliły zasłonę przyszłości; w największej tajemnicy dał rozkaz, ażeby w najbliższej nocy postarano się o to, co do tego było potrzebne.

IX.
Uratowany.

Los chrześcian, skazanych na męczeństwo, można było nazwać stósunkowo lekkim, skoro po wydaniu wyroku niebawem następowało jego wykonanie. Inaczej rzecz się miała, gdy nieszczęśliwi skazańcy długo w strasznych więzieniach lub przy ciężkiej pracy niewolniczej na śmierć czekać musieli. Wtedy ułomna natura ludzka często się w nich odzywała, a każdy dzień i każda godzina były chwilami próby ich wierności i stałości w wierze. Cóż bowiem znaczyły wszystkie męki torturowe w porównaniu z tem więzieniem całe tygodnie trwającem w lochach pełnych zaduchu i wilgoci, do których nigdy promień słońca nie doszedł, — gdzie godziny tak wolno płynęły, jakby były przykute, — w beznadziejnej samotności, przygnębiającej srodze umysł, napełniający ludzi rozpaczą. Nie mniej okropnym był los tych wyznawców chrześciańskich, którzy do robót publicznych skazani zostali. Lud taki, jak rzymski, przywykły od najmłodszych lat w krwawych walkach cyrkowych gladiatorów widzieć nadzwyczajną przyjemność, obyty z najbrutalniejszem postępowaniem względem niewolników, nie mógł mieć ani litości ani miłosierdzia dla biednych więźniów. Najmniej zaś można się było spodziewać serca ze strony dozórców, pod których władzą biedni skazańcy w najcięższych robotach od rychłego rana do ciemnej nocy pracować musieli. Gdy dzisiaj na ruiny wspaniałych budowli z czasów starego Rzymu spoglądamy, nie przychodzą nam na myśl owe jęki i łzy, ani strumienia krwi, przelane przy nich, nie pamiętamy o tem, jak liczne zastępy chrześciańskich wyznawców cierpiały tutaj niewypowiedziane męczarnie za wiarę.

Dla Rufina stała się ta próba jeszcze cięższa z powodu wskazówek danych co do niego dozórcom przez Sabina. Silny mąż wychudł w krótkim czasie, jak szkielet; czuł, że koniec się zbliża: jakżeby chętnie umarł, gdyby mu troska o córkę śmierci tak ciężką nie czyniła!

Walerya była podobną roślinie, wyrwanej z ziemi i rzuconej na żar słońca. Ożywiło ją i krzepiło jedynie jeszcze matczyne współczucie Ireny. Ta szlachetna matrona przypominała jej wzniosłe idee, które chrześciaństwo jak kwiaty rajskie nad królewską drogą krzyża zasadziło; to znowu wzbudzała w niej nadzieję, że Konstantyn przybędzie na czas i uwolni więźniów.

Gdy Irena o tem mówiła, głos jej nabierał wielkiej pewności, która się też i Waleryi mimowoli udzielała. Serce Ireny myślało przy tem o synu, o Kandydzie i o błogosławionej godzinie, w

której po kilkuletniem niewidzeniu znowu go ujrzy.

Było to po południu przedostatniego dnia przed uroczystościami cesarskiej rocznicy, gdy Walerya na wschody Palatyńskie wstąpiwszy, napróżno wyglądała ojca.

Czyby zachorował? Może już umarł pod biczami nielitościwych dozórców? A jeżeli jest chory, jeżeli leży bez opieki, bez pożywienia, bez nakrycia i żadna dusza nad nim się nie zmiłuje! Te myśli raniły serce Waleryi. Po dwugodzinnem daremnem czekaniu, zeszła ze schodów, z płaczem i jękiem, nie dbając o ludzi, którzy z ciekawością oczy na płaczącą zwracali.

Wtem spotkała Rustykę, ową młodą matkę z Zatybrza.

Pod pozorem, że zbiera drzazgi, odpadające od drzewa przy budowli, umiała ta dzielna niewiasta dostać się kilkakrotnie za płot, otaczający budowlę i przynieść pomoc chrześcianom; nie raz już wygonił ją biczem dozórca, za co go gadatliwa Zatybrzanka głośno zbeształa. Teraz, gdy jej Walerya z płaczem o losie ojca opowiedziała, zaczęła Rustyka myśleć, w jaki sposób by najlepiej chorego znaleść i do niego się dostać można. Wiedziała ona dobrze, jak bardzo właśnie na Rufina uważano; cóż począć? Jedna myśl po drugiej przesuwała jej się po głowie, podczas gdy Walerya patrzała na nią oczekując od niej rady i pomocy. Wtem twarz Rustyki rozpromieniała, oczy jej zabłysły i z umiechem zawołała:

— Tak, tak się uda! To będzie awantura, lecz trzeba odczekać ciemności. Lecz jeśli się uda, już o północy zobaczysz..... Ale nie mogę tracić czasu, — przerwała sobie Rustyka i dodała: — Muszę się rozmówić z moim mężem, który jest mądry. Ach, jaki on sprytny! Bądź zdrowa, szlachetna Waleryo i nie trać nadziei!

Walerya spojrzała na nią z wdzięcznością i podała jej ostatni pieniądz, jaki posiadała, z prośbą, aby za niego dla ojca coś pokrzepiającego kupiła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do mego syna chrzestnego.

Mała dziecino, dziś kapłańskie dłonie
Chrystusowemi okryły cię godły,
A z serc życzliwych płyną na twe skronie
Błogosławieństwa i serdeczne modły.

Pod błogosławieństw i modłów opieką
Niech zdrowo wzrasta i krzepi się ciało;
By sił starczyło na podróż daleką,
Gdzie wiele cierni, a róż bardzo mało.

Pókiś dziecięciem w kolebce, w powiciu,
Błogosławieństwa i modły wystarczą;
Ale czy potem w całem twojem życiu
Będą ci one i zbroją i tarczą?

Z dziecięcia w krzepkie wyrośniesz pacholę,
Potem młodzieńcem, potem będziesz mężem,
Znajdziesz po drodze dobrą i złą dolę,
Wszędy przebijać się przyjdzie orężem

Ale ten oręż nie kuty ze stali,
Ani go kupić za srebro lub złoto;
On nie zabija, nie rani, nie pali,
Ten oręż zwie się: dobrą wolą — cnotą.

I nie wziąć z obcych rąk tego oręża,
Bo choć hartowny, dzielny, doświadczony,
Choć w polu walki niechybnie zwycięża —
Trzeba go ukuć własnemi ramiony.

Kiedy tak zbrojny wystąpisz na boje,
Jako lew chrobry, jako łabędź czysty,
Nie bacz na trudy, zawady i znoje,
Stój przy chorągwi jako miles Christi.*)

W. z nad Sejenki.

*) Żołnierz Chrystusów.

Kopalnie wosku w Borysławiu.

Trudno opisać wrażenie, jakiego doznaje podróżny po raz pierwszy zwiedzający Borysław, miejsce najznakomitszej i prawie jedynej w Europie produkcyi wosku ziemnego położone w Galicyi. Jakiś Amerykanin, poszukiwacz złota w Kalifornii, zwiedziwszy Borysław zauważył, że był od początku odkrycia drogocennego kruszcu w okolicach San Francisco, kiedy zbiegali się do niej najodważniejsi awanturnicy całego świata, gdy pięść, nóż i pistolet były prawem, a i tam nic podobnego nie widział. Sam Borysław pierwotnie wioska, leży na trakcie drohobyckim; tuż za nią rozpościera się rozległa dolina zwana Nowym Światem, zamknięta od południa lesistymi odnożami podgórza, ku południowi ścieląc się nieprzejrzaną równiną z lekka tylko falisto pogarbioną. Jest to właśnie Kalifornia polska wosku ziemnego i nafty. Na przestrzeni kilkudziesięciu morgów, na których przed kilkunastu laty były łąki i orne pola, dziś ziemia poszarpana, przewrócona wnętrznościami do góry i powiercona, na której głóg i jałowiec chyba rosnąć może, lecz zboża już pewno nigdy nie będzie. Cała ta pogórkowata czarna przestrzeń bezpłodnej ziemi pokryta jest blisko siebie stojącymi nędznymi barakami, z których każdy oddzielną stanowi kopalnię wosku ziemnego i ropy. Jakkolwiek baraki te są niezmiernie niechlujne i licho sklecone z drzewa, przedstawiają się w pewnej prawidłowej formie, a pozwalają robotnikom pracować w studniach nawet w czasie niepogód i pory zimowej. Gdy wchodzimy na Nowy Świat uderza nas mimowoli zagłębienie tej miejscowości w stósunku do dalszej okolicy. Czyżby to był dawny moczar? Nie, jest to smutne następstwo niewłaściwego kopania. Wybierany minerał z ziemi bez podstęplowania pozostawia próżnię, która sprowadza zakleśnięcie powierzchni.

Nic dziwnego w tem zjawisku przyrody, ale jest w nim coś groźnego dla robót prowadzonych dziś i na przyszłość, bo ciśnienie ziemi zgniata, zgina i wyprowadza z pierwotnego położenia szyby czyli studnie podziemne i chodniki, które rozpaść się mogą. Widok baraków, z których Nowy Świat się składa jest oryginalny, nie ma wśród nich domów mieszkalnych, bo w obrębie kopalni ognia palić nie wolno. Szynki więc, których tu moc niezliczona i mieszkania stoją opodal, oddzielone wązkim gościńcem. Pomiędzy barakami idą tylko wązkie ścieżki, pełne grzązkiego błota, oprócz linii kolei żelaznej do przewożenia wydobytego produktu ze składów, dróg pracę ułatwiających tam nie ma. Ciągle się też spotyka biedaków z workami na plecach dźwigających wosk lub kamienie na miejsca składu, brnących po błocie.

W baraku między czterema drewnianemi ścianami z cienkich tarcic złożonemi, znajduje się na przestrzeni 25 do 100 kwadratowych sążni 2, 3 czasem 10 i więcej szybów czyli studni, którémi liną drucianą spuszcza się robotnik w głąb ziemi na 20 do 60 stóp i w tej głębokości »idąc za woskiem,« posuwa się, wydobywa minerał i nakłada do wiader wyciąganych co chwilę na powierzchnię. Bez ustanku też jedna lub dwie robotnice, czasem dzieci lat 14 za pomocą drewnianego młynka i lutni drewnianych lub blaszanych odświeżają powietrze w studni. Robotnik tylko z lampą świecącą się ma prawo być spuszczonym na dół, gaśnięcie bowiem lampy jest wskazówką takiej ilości gazów duszących, iż człowiek nimi oddychać a więc i żyć nie może.

Nierzadko na dnie studni niedostatecznie przewietrzanej gromadzi się gaz rozweselający, który prędko odurza robotnika i przedstawiając mu nęcące obrazy pozbawia pojęcia niebezpieczeństwa, w którem się znajduje i woli ratunku. Nieraz zdarzało się, że posłany dla ratowania robotnik tracił przytomność i razem z tym, którego miał rato-

wać, śpiewał i skakał na dnie studni słabnąc coraz więcej. Ilu ludzi zginęło w tych »duczkach« czyli szybach, któż policzy, kiedy nikt nie umie nawet powiedzieć, ilu ludzi pracuje w kopalniach; a jakiż to okropnie wesoły musi być ten taniec umierającego?! A jednak pracowników nie braknie, wielu między nimi, to dawni właściciele gruntów przestrzeni dziś inaczej wyzyskiwanej, którzy pozbywszy się lekkomyślnie lub przez podstęp spekulantów spokojnego mienia, jeszcze lekkomyślniej strwonili grosz za niego otrzymany, stali się robotnikami u żydów najmując się do pracy w duczkach.

Praca ta jednostajna, ani sercu, ani głowie nie dająca posiłku, nie tak jak praca na gruncie lub warsztacie, a ciężka szczególnie w tem powietrzu, do którego może przywyknąć powonienie, ale nie płuca. Pokrzepianie się wódką, z rozpaczy, z przykładu, pokusy szynkarza lub nałogu, sprawia, iż organizm nie długo wytrzymać może i całe rodziny idą pod cudze płoty. Płaca robotnika dziennie przenosi czasem i guldena, atoli łatwość zarobku nie uczy szanowania grosza i o dobrobycie mowy tam nie ma. Przedewszystkiem moralni powinni być przedsiębiorcy, lub dozorowani w swej eksploatacyi. Tracą oni częściej i szkodzą sobie nawzajem niż zyskują, kupując bowiem przyległe wydatnym studniom parcele za wygórowaną cenę, podsuwają się z swemi studniami tak blisko jeden do drugiego, iż wzajem się obrabowują. Zdarzy się, że komuś szczęście dopisze i znajdzie »złotą studnię,« ale dziesięciu innych rujnuje się trafiwszy na pokład jałowy, więc stara się pozbyć studni, oszukując nieświadomych najniegodziwszymi środkami. Pełno tu tedy szachrajstwa i oszukaństwa, studnie podnoszą się w cenie i spadają jak papiery na giełdzie, a nierozważni spekulanci oszołomieni nadzieją dorobienia się skarbów, topią częstokroć na polach borysławskich grosz w pocie czoła przez lat wiele zapracowany. Takie gospodarstwo nie podnosi też bynajmniej ani dobrobytu okolicy, ani bogactwa kraju. Pomimo, że Borysław w przeciągu lat 24 blisko za 30 milionów wyprodukował oleju skalnego i wosku, to zamożność powszechna w okolicy wcale nie postąpiła, a obfitość zarobku przyczyniła się tylko do podwyższenia dochodów z szynków i do demoralizacyi robotników.

Błog. Jan Sarkander.

W ciężkich zapasach 30-letniej wojny zyskała ziemia Ślązka nowego orędownika przed Bogiem, nowego patrona, a mianowicie błogosławionego Jana Sarkandra. Byłto rodowity Ślązak, urodzony w r. 1576 w Skoczowie, w tej części Górnego Ślązka, która pozostała do dziś dnia pod panowaniem habsburskiem. Odbywszy nauki w Ołomuńcu, w Pradze i w Gracu w Styryi poświęcił się stanowi duchownemu. Był najpierw wikarym w Opawie, następnie w Charwatach pod Ołomuńcem, potem w Nuczowie; tutaj po raz pierwszy doznał prześladowania za przywiązanie do Kościoła św., uwięziony przez nieprzyjaciół katolicyzmu. Pół roku przebył w więzieniu w Kromieryżu, mieście morawskiem, poczem otrzymał probostwo w pobliskiej osadzie Zdunkach; pracował potem w Boskowicach, a w końcu był proboszczem w Holeszowie na Morawach. Ciężką miał wszędzie pracę, otoczony protestantami, bronił dzielnie praw Kościoła, a niejednego nawrócił: tem większą nienawiścią pałali doń przeciwnicy. Na uproszenie sobie większej łaski Bożej do gorliwego spełnienia coraz trudniejszych obowiązków wybrał się przeto Jan Sarkander w r. 1619 w pielgrzymkę na Jasną Górę w Częstochowie, do cudownego obrazu N. Maryi Panny

Częstochowskiej, tej najdroższej sercu każdego Polaka otuchy. Podczas jego nieobecności zabrali protestanci kościół w Holeszowie, a katolików powtrącali do więzienia i porozpędzali, tak, że mu pozostała ledwie szczupła garstka parafian. Dowiedział się o tem świątobliwy mąż w powrotnej drodze, w Rybniku. Postanowił natenczas spędzić resztę życia w klasztorze i udał się w tym celu do Krakowa, żeby tu wśród licznych zakonów wybrać sobie zaciszną celę; nie był przedtem jeszcze w Krakowie, a rzecz prosta, że pragnął poznać to miasto, będąc rodowitym Polakiem, tudzież że na miejsce pobożnych ćwiczeń na resztę życia wybrał sobie ten gród Piastów i Jagiellonów, zwany słusznie małym Rzymem. Ale inaczej Bóg przeznaczył. Skoro uczynił zadość tęsknocie serca za stolicą Polski, skoro już poznał Kraków i odwiedził nabożnie jego liczne kościoły, odezwała się w nim inna tęsknota — za swymi parafianami. Wracał więc na Morawy. Właśnie wtenczas król polski Zygmunt III wyprawił wojsko zwane Lisowczykami na pomoc cesarzowi przeciw protastantom; żołnierze ci, jak zawsze, żywili się kosztem kraju, w którym się znajdowali, a więc wybierali sobie po drodze daniny, tak, że taki pochód wojska uciążliwy był tak dla nieprzyjaciół, jako też nawet przyjaciół. Morawy były we władaniu protestantów, a magnat, do którego należała parafia Holeszowska, należał do głównych wrogów cesarza; należało się przeto obawiać, że Lisowczycy postąpią sobie surowo w tej okolicy. Ażeby odwrócić klęski wojenne od swej parafii, umyślił świątobliwy pleban urządzić procesyę, gdy Lisowczycy nadchodzili; wiedział dobrze, że polscy żołnierze nie ważą się żadnego gwałtu wobec Najśw. Sakramentu niesionego w uroczystej procesyi. I tak się też stało; Lisowczycy nie tylko nikomu krzywdy nie wyrządzili, ale byli łagodni dla mieszkańców, a wielu z nich przystąpiło w Holeszowie do Sakramentów świętych.

Wkrótce potem został błog. Jan Sarkander powtórnie uwięziony przez protestantów; bali się bowiem, żeby na nowo nie dokonywał nawracań. Zarzucali mu, że po to jeździł do Polski, żeby Lisowczyków sprowadzić; jak gdyby prosty proboszcz mógł wpłynąć na postanowienia królów i kierować polityką! Sami nie wierzyli zapewne w te zarzuty, a celem procesu było coś innego. Oto Jan Sarkander był spowiednikiem księcia Lobkowica, naczelnika katolików czeskich i morawskich, a poufnego doradzcy cesarza; bardzo być może, że błog. Jan Sarkander wiedział z konfesyonału niejedną rzecz ważną, której wiadomość przydałaby się polityce wodzów protestantyzmu; nie o co innego też im chodziło, jak tylko o to, żeby na kapłanie wymusić wyjawienie sekretów spowiedzi. W tym celu poddawali go strasznym torturom kilka razy, tak, że kości w nim były połamane, a ciało rozpadało się, poprzypiekane pochodniami nasyconemi siarką.

Nie wydobyto jednak z katolickiego kapłana ani słówka, prócz modłów i prócz słów przebaczenia dla okrutnych oprawców. Uległo ciało męczennika tym męczarniom dnia 17. Marca 1620; protestanccy starsi nie chcieli go nawet dać pochować przyzwoicie. U grobu męczennika, a także na miejscu jego więzienia, począł Bóg działać cuda; cześć jego rosła coraz bardziej u ludu, a potem nawet monarchowie odwiedzali te miejsca; tak np. sławny król polski Jan Sobieski, w pochodzie na Turka w roku 1683, trwał też w Ołomuńcu na modlitwie u grobu świątobliwego rodaka.

Poczęto czynić starania, żeby Stolica apostolska ogłosiła Jana Sarkandra błogosławionym, co jest wstępem do kanonizacyi. Zabiegi te przerywały jednak ustawiczne wojny, to szwedzkie, to tureckie, to różne inne przeciwności, o których bliższą wiadomość zaczerpnąć można z żywota tego Błogosławionego, pięknie opisanego przez ks. Matuszyńskiego. W Rzymie nie mogli nic zrobić, pókiby Stolicy apostolskiej nie dostarczono dokładnych wiadomości od arcybiskupa ołomunieckiego. I tak ta sprawa przewlekała się, przerywając się



Błog. Jan Sarkander (podług rysunku Michała Pociechy)

ustawicznie, że przeszło sto lat w tych staraniach upłynęło. Nareszcie 6. Maja 1860 r. papież Pius IX zarządził beatyfikacyę, t. j. ogłosił Jana Sarkandra błogosławionym; pamiątkę jego obchodzi się dnia 24. Marca.

WIENIEC, WIANKI.

Kolisto upleciona wiązanka z kwiatów, liści lub gałązek zielonych zowie się wieńcem, wiankiem. Wieniec w pojęciach narodu polskiego był zawsze godłem niepokalanego dziewictwa. Stąd dziewczęta ubierają głowy swoje w wianki, których mężatki nigdy nie nosiły, bo zabraniał im tego zwyczaj narodowy, a raczej prawo zwyczajowe. To też gdy Dąbrówka, żona Mieczysława I, wychowana pod wpływem oświaty niemieckiej, lekceważyła sobie ten zwyczaj, i w wieku podeszłym nie kwefiła głowy, ale (jak powtarza za współczesnymi Długosz) na wzór dziewic przystrajała się w czółko i wieniec, tak to się dziwnem wydawało Polakom, że aż przeszło do podań i na karty ich dziejopisów. Dziewica, która postradała swój wianek, już go nigdy potem na skronie swoje włożyć nie mogła. Obcinano jej warkocz (jak mężatce przy oczepinach) i zawiązywano głowę w biały rąbek.

W czasie obchodów weselnych, wianek odgrywa bardzo ważną rolę. Ślubny wieniec jest ostatnim, który zdobi czoło dziewicy. Wicie wieńców dla panny młodej i pana młodego podczas »dziewiczego wieczoru« z towarzyszeniem rzewnych pieśni, jest obrzędem wzruszającym i bardzo pięknym. Gdy panna młoda wnosi do świetlicy rutę na wianki w zapasce, towarzyszki jej podnoszą śpiew starożytny:

Rozsypała Kasienka,
Drobną rutkę po stole,
Któż tę rutkę pozbiera
Kasi wianek uwije?

»Ojczeńko rutki nie zbiera, bo w niej nadzieję małą ma.« Więc z tem samem zapytaniem pieśń zwraca się do matki, potem do brata i siostry, ale i oni rutki zbierać nie chcą, aż »Jasieńko rutkę pozbierał, bo w niej nadzieję wszystką miał.« Po uwiciu wieńców słyszymy jak dziewczyna potoczywszy wianek po stole, woła: »Trzymaj ojczeńku sokole.« Ale ani ojciec, ani matka, ani brat i siostra, wianka nie zatrzymali dopiero:

Jasieńko wianek zatrzymał,
Bo w nim nadzieję wszystką miał.

Gdzie przybywają na »dziewiczy wieczór« drużbowie po wieńce, tam bywa piękny a uroczysty pochód czyli taniec polski z wieńcami. Nazajutrz przed wyjazdem do ślubu następuje oddanie wieńca pannie młodej z przemową »marszałka weselnego.« Lud dotąd zachowuje zwyczaj tych oracyj, na które wysilał się przed wiekami dowcip staropolski, jak to widzimy ze słów Miaskowskiego: »Miewał wieniec swój dowcip przed laty.« Kupno wieńca u braci panny młodej przez drużbów pana młodego, a później uroczyste zdejmowanie go z głowy podczas oczepin, stanowią dalszy szereg obrazów tego poetycznego i czysto słowiańskiego obyczaju w życiu domowem rodziny polskiej. Przy obchodach rolniczych jak dożynkach i okrężnem, wieniec główną gra rolę. Wielkopolanie nazywają nawet dożynki »wieńcem«. »Wieniec kłosiany żyzność znaczy, tego więc używają żeńcy, zebrawszy z pola,« powiada Petrycy w książce swojej z r. 1609. Wieniec dożynkowy, który gospodarzowi po zakończeniu żniwa przynosi z pola najdzielniejsza żniwiarka, bywa wspaniały, kształtu piramidalnego, uwity z kłosów żyta, pszenicy, kwiatów i nieraz jabłek i orzechów, jako symbol plonu pól, sadów i lasów. Podczas zabaw sobótkowych, dziewczęta wiły wieńce z bylicy. W ową noc świętojańską z 23 na 24 Czerwca, gwoli

wróżbom zamążpójścia, płynęły wianki dziewicze po falach Wisły, Warty, Niemna i po innych »dunajach« naszych. Świętojańskie »Wianki« są jednym z najstarszych i najpiękniejszych prastarych polskich zwyczajów. Dziewczęta zebrane o zmroku rzucają swe wianki na nurty rzeki, a młodzieńcy na łódkach idą w zawody za wieńcami. Dola wianka, komu się dostanie, czy zatonie lub popłynie w kraj świata, stanowi wróżbę dla dziewczęcia, powód do niepokoju, radości, nadziei... Na Mazowszu nad Narwią, przy puszczaniu wianków, dziewczęta śpiewały prześliczną pieśń:

W polu lipeńka, w polu zielona,
Listeczki opuściła,
Pod nią dziewczyna, pod nią jedyna,
Parę wianuszków wiła.
Oj czego płaczesz, moja dziewczyno,
Ach cóż ci za niedola?
Oj nie płacz Kasiu, smutnaś po Jasiu,
Ach będziesz ci go miała.
O mój Jasieńku, o mój jedyny,
Da stałać mi się szkoda,
Uwiłam ci ja parę wianuszków,
Zabrała mi je woda.
Moja dziewczyno, moja jedyna,
Nie frasuj ty się o nie,
Oj mam ja parę białych łabędzi,
Popłynąć one po nie.
Już jeden płynie, po rozkicinie,
Goni za wiankiem strzałą,
Już drugi płynie, aż się odhynie,
Ale z pociechą małą.
Łabędzie płyną, wianeczki toną,
Bystra je woda garnie,
Moje wianeczki, z drobnej ruteczki,
Mamli was stracić marnie?
Łabędzie płyną, wianeczki giną,
Bystra je woda niesie,
Nie masz wianeczka, moja dzieweczko,
Już ja cię nie pocieszę.
Łabędzie wróćcie, serca nie smućcie,
Wianeczka nie przyniosły,
Tylko rąbeczek, to na czepeczek,
Na twoje złote włosy *).

Powszechny jest w Polsce i Litwie zwyczaj poświęcania wianków w oktawę Bożego Ciała, podczas ostatniego nieszporu. Woń ziół uważana jest jako symbol cnoty, a Kościół w modlitwie, którą odmawia kapłan przy ceremonii poświęcania, prosi Boga, aby przyjął wonne cnoty tych, którzy składają Mu na ołtarzu wieńce i zioła. Wieńcami zdobi się monstrancya podczas tego nabożeństwa. Tym sposobem znaczenie dawne wieńców i ziół sobótkowych, w pojęciach ludu polskiego, uświęcone zostało przez Kościół. Wianki te i zioła poświęcone zawieszają na ścianach, u obrazów, lub nad drzwiami i przechowują przez rok cały, przypisując im cudowne własności. Kładą je pod podwalinę zakładanych domów, pod pierwszy snop zwieziony do stodoły we żniwa, okadzają jak sobótkowemi dom i gumna, w przekonaniu ochrony od pioruna, także dobytek w wilię św. Jana i dzieżę chlebną. W wielu domach wito zawsze dziewięć tych wianków, każdy z innego ziółka, a mianowicie: z macierzanki, rozchodniku, nawrotka, kopytniku, rosiczki, mięty, ruty, stokroci i barwinku. Używany jest także lubczyk, kopelnik, targownik i dzwonki, w Krakowskiem bobownik i niezapominajki, w Wielkopolsce gałązki lipy i jabłecznik. Wiankiem z rozchodniku okadzają dom przed burzą, wierząc, iż od tego rozchodzą się chmury gradowe i pioruny. W języku staropolskim było wyrażenie »wiankami nakadzić«, a gdy komu przychodziło coś bardzo łatwo i szczęśliwie, mówiono: »jakby wianki wił.« Szymonowicz w sielankach powiada: »I wieniec piękniejszy jest, kiedy przeplatany,« to znaczyło: kwiatami różnych barw, Falibogowski bowiem (za Zygmunta III) pisze: »Panienka kiedy wije, część go jasnemi, część ciemnemi kwiatkami przeplatać zwykła.« Odwiecznym typem wianka dziewiczego u ludu w Polsce był wianek jak dłoń maleńki, ruciany. Ruta dlatego została uprzywilejowaną, że jej listki zachowują pod śniegiem przez całą zimę piękną zieloność. Jan Kochanowski mówi o »wieńcu rucianym.« U szlachty, mieszczan a potem i u ludu wszedł w użycie i zaczął rugować rutę rozmaryn, wreszcie mirt. Lud pod Krakowem kupuje gotowe wianki ślubne ze świecideł papierowych i blaszek robione. O ile wieniec z kłosów zboża był symbolem plonu, o tyle ze słomy wymłóconej, był obelżywy, jako symbol utraconego panieństwa. Wieniec grochowy czyli z pustych uwity grochowin, oznaczał odprawę dla zalotnika, płonność jego zamiarów. Młodzianowi, za któ-

*) Muzyka do powyższej pieśni mieści się w książce »Skarbiec strzechy naszej« str. 102. Do nabycia w Wydawnictwie »Katolika« w Bytomiu za cenę 1 mk.

rego wydać panny nie chciano, dawano to do zrozumienia grzecznym sposobem przez podanie na obiad czarnej polewki (na Żmudzi potrawy zwanej szupienie), postawienie na stole arbuza, lub ukazanie mu »grochowego wieńca.«

Przykłady zmyślności psów.

Liczne nowe spostrzeżenia nad życiem zwierząt dowiodły niezaprzeczenie, że wiele zjawisk, któreśmy z braku znajomości lub należytej uwagi na toż życie przypisywali działaniu instyktu, t. j. ślepego popędu natury, panującego każdemu zwierzęciu, jest raczej objawem pewnego rodzaju rozumu zwierzęcego. Zwierzęta poznają ludzi i miejscowości, zdradzają w wielu przypadkach pewną rozwagę, którą na podstawie długoletnich spostrzeżeń uzasadnić możemy, okazują ku tym, którzy o nich staranie mają, przywiązanie, wierność i wdzięczność, a i pomiędzy sobą rządzą się uczuciami przyjaźni, litości lub wstrętów i niechęci.

Najbardziej rozwiniętą jest inteligencya u psa. Ciągłe obcowanie z człowiekiem, rozbudziło w nim niezawodnie zdolności, których w tym stopniu u żadnych zwierząt nie napotykamy. Ileż to znamy wzruszających przykładów jego wierności i czujności, rozumu i zmysłu śledczego, pojętności i roztropności Gdybyśmy chcieli zebrać opowiadania choćby najwięcej znane, zapełnilibyśmy całą książkę. Musimy więc ograniczyć się tutaj na podaniu kilka tylko wydarzeń. Weźmy najprzód takie, w których pies roztropnością swoją stał się wybawcą z nieszczęścia.

Roku 1858 zniszczył pożar większą część wioski Göhren w Turyngii. Z całej wsi ocalało tylko bydło włościanina Meyera, który opowiada co następuje: »Widziałem już palące się zabudowania mojego sąsiada. Pobiegłem do owczarni, ale wylękłe owce nie chciały jej opuścić. Z obawy znacznej straty postanowiłem wyprowadzać jednę owcę za drugą; słomą kryty dach płonął już sycząc nad mą głową, kiedy mi się udało kilka zaledwie ocalić owiec. Czułem, że już chyba zginąć im przyjdzie i zawołałem głośno: »Boże mój! Boże, dopomóż mi!« Wtem zdało mi się, jakby coś koło mnie szybko do owczarni wbiegło. W tej chwili usłyszałem ochrypłe ujadanie psa i nie upłynęło kilka sekund, jak wszystkie moje owce wpadły z taką szybkością w podwórze, że mnie stojącego przed drzwiami powaliły o ziemię. Leżąca w dziedzińcu słoma zajęła się już. Pies tymczasem przepędził owce ulicą na pagórek, który że dalej od domostw leżący, pewne dawał schronienie. Chciałem się udać ku stajniom, gdzie bydło stało, ale przez palącą się słomę przedostać się nie mogłem. Teraz był już najwyższy czas myśleć o ratunku samego siebie; naraz widzę moje bydełko uciekające podwórzem przed psem, który goniąc za niem kąsał je nawet. Brakło jeszcze trzody mojej. Miałem ją już za straconą, kiedy po za palącemi się drzewami ujrzałem psa pędzącego ją przed sobą i rzucającego się w ślad za pierzchającą do wody.

W kwadrans potem cały mój dobytek był już spędzony gromadnie na wzgórzu; na straży kołując chodził mój pies owczarski. Straciłem wszystko, pozostało mi tylko to, co miałem na sobie, ale bydło moje było ocalone, a Bóg łaskawy pomógł wybrnąć ze złego. Psa, wybawcę mego, zatrzymam póki życia jako najwierniejszego przyjaciela«.

Inne jeszcze przykłady chytrości i podstępnie obmyślanego wybiegu psa, które niżej przytoczymy, stwierdzają niezbicie zdanie, że te zwierzęta po swojemu myślą.

Bernstein opowiada, że gdy zakazano wpuszczać psa do jakiegoś ogrodu,

tenże wiedząc o zakazie, przemyśliwał nad tem, jakby można używać tej przyjemności, nie będąc karanym za nieposłuszeństwo. Udawał się też codzień na ulubione miejsce przez piwnicę do jego budy przytykającą. Zawołany nie wybiegał z ogrodu, tylko piwnicą powracał co najszybciej do budy, zkąd pomału się wysuwał, jakby dopiero co wstał ze swego legowiska.

Perty wspomina znowu o psie, który tak był chciwy krwi, że owce dusił. Wiązany na łańcuchu, znalazł on przecież nieraz sposobność zaspokojenia swej żądzy.

Ściągał sobie w nocy obrożę z głowy i biegł w pole, by zdusić owcę; powracając zatrzymywał się za każdym razem nad strumykiem dla zmycia krwawego śladu i przed świtem był już w domu. Włożywszy napowrót obrożę, co mu z wielką przychodziło trudnością,



DWA BRYSIE.

kładł się spać, aby niczem nie obudzić podejrzenia. Inny pies lubił bardzo wygrzewać się pod piecem; gdy jednak najlepsze miejsce inne psy zajęły, umyślił sobie pozbyć się ich ztamtąd następującym sposobem: wybiegłszy z izby przed wrota, zaczął z całych sił szczekać; pozostałe w izbie psy zerwawszy się na równe nogi, wybiegły również szczekając na podwórze. Sam sprawca popłochu wrócił tymczasem milczkiem do izby i zajął najwygodniejsze i najcieplejsze miejsce.

Dwaj myśliwi polując na kaczki, zabrali ze sobą psa nowo-fundlandzkiego. W trzcinie złożyli kapelusze, lecz wkrótce potem rozkazali psu przynieść je sobie. Kapeluszy tych nie mógł pies w żaden sposób naraz uchwycić, aż po kilku daremnych usiłowaniach włożył mniejszy do większego i tak dopiero poniósł je panu swemu.

DOSKONAŁE LEKARSTWO.

(Ciąg dalszy.)

Tereska aż w dłonie klasnęła, usłyszawszy takie mądre wytłómaczenie wścieklizny młynarza; zapłaciła bardzo grubo znachorce, robiła wszystko, co jej ta poleciła, zadawała mężowi przepisane przez mądrą leki, niestety i te się nie przydały na nic. Co gorsza zaszkodziły prawie, bo Mateusz z każdym dniem był gorszy.

Każda inna kobieta byłaby dała za wygraną, lecz Tereska była bardzo energiczną, nie miała zwyczaju rąk opuszczać w połowie drogi, a jej ruchliwa i odważna natura nie pozwalała żadną miarą poddać się złemu losowi bez walki.

— Straszne to jakieś choróbsko, zadała ta zazdrośnica, memu biednemu mężowi — powiedziała sobie Tereska — nie łatwo je widać zmódź, ale trzeba jeszcze szukać sposobów, może Pan Jezus dopomoże.

Jakoż niebawem znalazła przecie odpowiednie lekarstwo na ową Mateuszową upartą chorobę, ta wytrwała, dobra żona.

Razu pewnego będąc w miasteczku na targu z masłem i z jajami, zeszła się Tereska z jedną z kumoszek, mieszkającą w sąsiedniej wiosce. Kumoszka ujrzawszy Tereskę bladą i smutną, zaraz zawołała ze współczuciem:

— Witajcie młynarko! Coś mi kiepsko wypatrujecie, kumoszko? Czyście aby nie chorzy?

— Ja was też witam, kumoszko! — odparła Tereska — toć tam niby ja zdrowa jestem, nic mnie nie boli. Ale od frasunku ledwo żyję... Wiecie, że do mego, jak przed czterema laty coś przystąpiło, tak do dziś spokoju mu nie daje.

— Oj, skaranie Boże z tymi chłopami! — westchnęła kumoszka; ale wnet znowu spytała:

— A radziliście się też już kogo, kumoszko?

— O, mój Boże! Jużbym ani nie potrafiła zrachować tych pieniędzy, com na rady i leki wydała; ale to wszystko, jakby na psa łyko wdział?

— Tak to tak, niegodziwy ten chłopski gatunek! — biadała kumoszka. — Mój toć tam jeszcze ujdzie, nie mogę mówić. Ale co to ja chciałam jeno powiedzieć? Acha! Byliście też już, młynarko, u naszego, nowego doktora? Okrutnie go ludzie chwalą.

— U jakiego naszego doktora? Gdzie?

— To wy nic nie wiecie? Ano, u tego, co się to przed gody do miasteczka sprowadził. Pono bardzo znający doktór. W naszej wsi kilkorgu pomógł; a włódarza, co już konał i gromnicę mu palili, też uzdrowił.

— Cosik sobie przypominam — rzekła w zamyśleniu Tereska — wydaje mi się, że nasz czeladnik niby wspominał o jakimś mądrym doktorze; ale co?

gdzie tam moja głowa do pamięci teraz! Może to ten sam doktor, co wy mówicie?

— Jużcić nie inaczej będzie. No, widzicie, kumoszko, że nie prawię, byle językiem obracać. Już jak co wiem, to wiem. A wam radzę, młynarko, idźcie do tego doktora.

— Ano, skoro ma być taki znający, jak mówicie, to i pójdę. Tymczasem Bóg wam zapłać, kumoszko! Straciłam już tyle na tych doktorów, niech tam i to jeszcze stracę.

Kumoszki uścisnęły się za ręce, pocałowały się w oba policzki i każda poszła w swoją stronę. Jedna kupić soli i oleju, druga poszukać mieszkania sławnego doktora.

Wnet je Tereska znalazła; pokazano jej najpiękniejszy dom w rynku, w którym mieszkał pan doktor.

Młynarka zadzwoniła, stara gospodyni wprowadziła ją do pokoju, gdzie młody doktor siedział pochylony nad biórkiem, szperając coś w książce. Tereska pochwaliła Pana Boga, doktor jej ładnie odpowiedział, a odsunąwszy na bok książkę, spytał przyjaznym głosem:

— Cóż mi to powiecie, moja kobietko?

— Ano, nic dobrego, proszę pana doktora! Oto mój już mi czwarty rok waryuje, jakby go, nieprzymierzając zły duch opętał.

— A leczył się też już wasz na tę waryacyą? — spytał doktor.

— A jakby nie! Gdzie mi jeno radzili, gdziem ino wiedziała, tam jeździała i radziła się, ale wszystko napróżno. Ani mądrzy, ani mądre nic nie pomogły. Jak się zalewał tą przeklętą »oparą« tak się zalewa, a mnie co dzień bije i poniewiera. Nie żałowałam też gęby, miotły i paznokci, ale to okrutnie twardy z natury chłop, więc...

— Ach! To was mąż pije, a potem waryuje? — przerwał doktor — no, opowiedzcie mi tylko od początku tę całą jego chorobę.

Tereska i teraz nie żałowała języka, lecz gorliwie, obszernie, z wszelkiemi szczegółami opowiedziała doktorowi smutną historyą pijaństwa Mateusza. Wyznała też szczerze wszystkie sposoby na jakie się brała, powtórzyła dosłownie wszystkie przekleństwa i wyzwiska, jakie sypała w ciągu lat czterech na głowę męża.

Pan doktor słuchał uważnie, nie przerywając, pozwolił się wygadać strapionej żonie, co jej widocznie ulżyło, bo wkońcu odechnęła swobodniej.

Teraz doktór zadał Teresce jeszcze kilka pytań, potem myślał i rozważał coś długo, zamykając i otwierając kilka razy książkę, aż w końcu rzekł:

— Ciężka to bardzo ta choroba waszego męża, moja młynarko! A co smutniejsza, że prawie jeszcze gorsza dla was, niż dla niego...

— O! to już prawda, panie doktorze! — przerwała Tereska — jużci mnie z tą chorobą najgorzej, bo jeszcze jedne guzy i sińce mi się nie zgoją, już ci ten pijak robi mi drugie.

— Otóżto, moja dobra kobietko! Ta choroba wam dokucza najbardziej, więc też lekarstwo, jakie jest na nią, wy zażyć musicie...

Tereska zdziwiła się bardzo nad tym szczególnym sposobem leczenia, ale wnet odparła zdecydowana:

— Adybym już zażyła nie wiem co, niechby gorżkie było, jak trucizna, żeby mu jeno skutkowało, a przestał pić i waryować.

— Jać mam jedno takie właśnie lekarstwo — mówił doktor bardzo poważnie, pocierając ręką czoło, — ale trzeba się z niem umieć obchodzić i to bardzo ostrożnie... Żebym to był pewien, że zrobicie tak wszystko, jak wam powiem, moja młynarko? Ale ja się boję...

— O, panie doktorze! — przerwała Tereska, składając ręce — już tak akuratnie uczynię, jak mi pan doktor przepowie, ani na jotę nie chybię; niech jeno wiem, co i jak mam robić.

— Więc dobrze! Zaczekajcie chwilę, zaraz wam przyniosę lekarstwo; powiem, jak go użyć trzeba.

To powiedziawszy wyszedł doktor do drugiego pokoju, coś tam przelewał

i mieszał, aż wreszcie przyniósł dużą butelkę, jakiegoś płynu i podając ją młynarce, tak mówił:

— Oto jest doskonałe lekarstwo na chorobę waszego męża. Jak się wasz upije i przyjdzie do izby hałasować, tedy weźcie tego lekarstwa spory łyk w usta, ale tak, aby wasz mąż tego nie widział. Jednakże lekarstwa nie połykajcie, tylko trzymajcie tak długo w ustach, aż młynarz nie przestanie warywać. Lecz to wam najbardziej zalecam, abyście nie połknęli ani kropli... Źleby wtedy było nietylko z waszym mężem, ale i z wami... Jużbym ani ja nic nie pomógł i z nieszczęścia was nie wyratował. Dopiero, jak młynarz się uspokoi i zamilknie, albo spać się położy, wolno wam lekarstwo wypluć gdzie w kącie. Tak róbcie dzień przy dniu; jak się ta butelka skończy, to przyjdźcie po nową. Jeżeli sumiennie wypełnicie to, com wam tu powiedział, to młynarz z pewnością wyzdrowieje.

Niezwykły ten sposób leczenia, nie wydał się młynarce wcale podejrzanym; przyzwyczajona była, że mądrzy owczarze, używali i doradzali jej o wiele dziwaczniejsze środki na Mateusza chorobę; zresztą myślała sobie, że im sposób szczególniejszy, tem skutek pewniejszy. Na przemówienie tedy doktora, odbierając z rąk jego butelkę, zawołała rezolutnie.

— Cobym zaś miała nie zrobić, tak jak pan doktór każe?! Toć to przecie nic trudnego trzymać lekarstwo w gębie... A jeżeli jeszcze nie bardzo gorżkie, to fracha!...

— Wcale nie jest gorżkie... umyślnie tak przyprawiłem, aby nie miało żadnego smaku i ztąd, abyście łatwo mogli je brać w usta.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

* **Jedykuł,** był to zamek o siedmiu wieżach, zbudowany na południowym krańcu Stambułu i przeznaczony przez Turków na więzienie dla znakomitszych jeńców. Nie było rodziny w narodzie polskim, którejby bliższy lub dalszy krewny nie przechodził kaźni Jedykułu, zbroczonego męczeńską krwią Wiśniowieckich i Koreckich. Bohaterom polskim odbierano tu życie przez zawieszenie ich za żebro na haku żelaznym.

Nie kradnij.

1.



2.



3.



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 1-go Lipca 1897. Nr. 26.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Wigilia dnia 24 Czerwca św. Jana Chrzciciela.

Dzień narodzenia św. Jana Chrzciciela stanowi jeden z najuroczystszych świąt nie tylko u Słowian, ale prawie w całej Europie. W Rzymie w święto »Maiuma« oblewano się wzajemnie wodą, co i u narodów słowiańskich praktykowało się dawniej. W Danii i w ogóle na północy palili ognie i kąpali się, a nawet i dotychczas się kąpią dla zdrowia.

Nasz dzień św. Jana pokrewny jest z niemieckim »Johanistag« albo der Tittelsommer; w tym dniu palą ognie.

W wigilię św. Jana na Litwie obchodzono uroczyście święto »Rosy«. Święto to znanem było w Polsce pod imieniem »Sobótek«, na Litwie i w Rosyi Kupajły. Na Litwie wszędzie świętują tę noc. Późno wieczór zbierają się w pewnem miejscu; tam urządzają namioty; piosnki, muzyka, tańce rozlegają się daleko i ognie rozniecone trwają całą noc. Dotychczas w Wilnie 24 Czerwca wieczorem ludność schodzi się do lasu pić, jeść i weselić się, co nazywają »iść na Rosę«. (Policya rosyjska stara się wszelkim środkami zniweczyć ten obyczaj starożytny, ale z trudnością jej to przychodzi.)

Według mniemania ludu na całej przestrzeni dawnej Polski i Rosyi w noc św. Jana kwitnie paproć, którą gdy ktokolwiek zerwie, zostaje szczęśliwym. Paproć ta kwitnąca odkrywa mu wszystkie tajemnice: może odrazu odszukać skarby, kiedyś zakopane w ziemi, a nawet może zmusić dziewczynę do miłości ku sobie. Kwiat paproci wtedy wydaje oślepiające piękne światło. Zkąd powstało to podanie, trudno sobie przedstawić, wiadomo jednakże, że paproć należy do rodziny roślin skrytopłciowych t. j. niekwitnących. (Wiele takich roślin mamy, do tych należą i grzyby.) Co się zaś tyczy światłości, jaką paproć wydaje w nocy na dzień świętego Jana, to to w sposób przyrodzony (naturalny) da się wytłómaczyć. W tym czasie pojawiają się także tak zwane świętojańskie robaczki, które w ciemności świecą się, przypuszczamy więc, że nie paproci kwiat wydaje światło, ale robaczek, który zmęczony spoczywa sobie na paproci.

Jak w Polsce, na Litwie, tak i w Rosyi i Małorosyi świętują noc świętojańską prawie z jednakowymi obrządkami, a u Walochów i Włochów pod nazwą »Sabatina« (polskie »Sobótki«). Rozpalane na górach tej nazwy ognie mogły być przyczyną tego imienia. Dotychczas obyczaj ten dochował się u nas w Polsce. Kobiety zapalają ognie, tańczą w koło nich, śpiewają, przepasane bielicą (roślina zwana po łacinie »Artemisia«). Sobótki krakowskie odbywały się na Krzemionkach i Zwierzyńcu, Warszawskie na brzegu Wisły i na wysepce, zwanej obecnie »Saską kępą«. W całym kraju zapalali dawniej ognie na placach i w bliskości lasów; wszędzie można było widzieć domy, umajone roślinami i kwiatami. Wszystko miało widok radosny. Sobótki nazywali Polacy także »Kresz«.

Serbowie mówią, że dzień św. Jana jest tak wielkim, iż słońce w swym biegu zatrzymuje się trzykrotnie. Ognie zapalane w górach Sudetach i Karpatach, przedstawiają wspaniałe widowisko na przestrzeni kilku set wiorst.

Na Ukrainie, Podolu i Wołyniu znaną jest zabawa pod nazwą »Kupajło«. Po zachodzie słońca wszystkie dziewczęta ze wsi zbierają się w pewne miejsce z wierzbą przystrojoną w kwiaty. Wierzbę tę wtykają do ziemi i zowią ją »Kupajło«. Następnie schwyciwszy się za rączki, chodzą około niej i śpiewają pieśni żałobne na cześć »Kupajły«. Po

pewnym czasie młodzieńcy (parobcy), stojący na boku, rzucają się na wierzbę, rozrywają ją i na tem kończy się obrządek cały. W Małorosyi w wigilią św. Jana, młodzież kąpie się do zachodu słońca, potem o zmierzchu rozpalają ogień na wygonach, na polankach i parami trzymając się za ręce, przeskakują ogień. Jeżeli w czasie skoków ręce nie rozłączą się, to znaczy, że dziewczyna z dorodnym chłopakiem pobiorą się.

Wiele by jeszcze można podać ciekawych uroczystości i zabaw na dzień św. Jana, ale tymczasem zadowolimy się jeszcze podaniem jednego gusła, o którem słyszałem w Rabsztynie, powiatu Olkuskiego, gubernii Kieleckiej. W nocy z dnia 23-go na 24-go Czerwca dziewczęta starają się złapać nietoperza. Jeśli którejkolwiek uda się obława, to niewinną istotę wsadza pod garnek i trzyma tam siedem godzin, poczem wyjmuje go ztamtąd, ma się rozumieć już nieżywego, robi nad nim sekcyę i wyjmuje kości z grzbietu, mające formę krzyża. Ma to stanowić talizman szczęścia w miłości: któregokolwiek chłopca dotknie się tą kością, już się staje jej wielbicielem. Wierzą w to mocno i jako przykład podają jakąś Ulkę (Julia) która miała ze 20-stu kochanków. Ciekawym byłoby zestawienie wszelkich obrządków w dzień św. Jana z całej Polski teraźniejszej i dawnej, a więc i ze Ślązka. Prosimy Szan. Czytelników ze wszystkich polskich stron, dokąd »Światło« dochodzi, ażeby nam zechcieli opisać obrządki i zwyczaje świętojańskie. Ogłosimy je w »Świetle«. *I. Ziemba.*

Jak zostać milionerem?

W tej sprawie zamieszcza »Revue des Revues« artykuł, który na licznych przykładach dowodzi, iż najniezawodniejszym środkiem dojścia szybko do fortuny, jest jakiś praktyczny wynalazek. Mamy wynalazki, na pozór bardzo mało znaczące, które powstają dzięki zastanowieniu się nad czemś, oglądaniu jakiegoś drobiazgu lub nawet najprostszemu przypadkowi, a przynoszą wynalazcom miliony. Oto kilka przykładów: Pewien amerykański chłop ze Stanu Maine, martwił się bardzo, iż pięcioro jego dzieci, zbyt szybko zużywają obuwie. Troska ta nasunęła mu myśl okuwania obcasów i podeszew blachą. Środek ten okazał się praktycznym, chłop podał więc o patent i zarobił na tem pół miliona dolarów.

Crandalle, którego imię słynie na całą północną Amerykę, wynalazł zabawę zwaną alfabetem kostkowym, którą lubią bardzo wszystkie dzieci Stanów Zjednoczonych. Na pomysł wpadł Crandalle w chwili, gdy ujrzał, że chora jego córeczka pozbierała sobie małe klocki drewniane i dla zabawy podrzucała kilkoma naraz w górę. Wynalazca ten jest dziś milionerem. Również wielką fortunę zdobył ten, który odkrył, że sznur elastatyczny zwinięty w kłębek, może być doskonałą piłką do rzucania. Miliony dolarów przyniósł także wynalazek, który właściwie uczynili już byli Rzymianie, a który na całe wieki wyszedł z używania, to jest ciężarki i rączki z bronzu do przytrzymywania papieru.

Także špilki tak dziś powszechnie znane pod nazwą »przyjaciółka« nie są nowością. Znali je jeszcze Rzymianie. Mimo to pewien Amerykanin, który otrzymał patent na ten starożytny wynalazek, zarobił na nim 500,000 dolarów.

W ogóle na tem polu drobnostkowych, niepozornych wynalazków, które atoli każdemu człowiekowi przynoszą codziennie pożytek i dla tego właśnie rozchodzą się w milionach egzemplarzy. Amerykanie pracują najskwapliwiej i dla tego bogacą się w jednej niemal chwili. Niedawno właśnie n. p. pewien Amerykanin wyrobił sobie patent na system hodowania pająków w celu otrzymania z nich jedwabnistego oprzędu. U nas taki pomysłowy człowiek byłby uważany za głupca, na drugi zaś półkuli ufają mu, poważają go i upatrują w nim przyszłego milionera.

O trzech cudownych dukatach.

(Legenda)

Przed dawnymi czasy żył w Erfurcie tkacz pewien, który od rana do późnego wieczora na chleb powszedni pracując, zaradzał, aby niedostatek do chaty jego nie zawitał. A przecież mówiono o nim, że należy do najbogatszych obywateli miasta, bo w córce swej Magdalenie, nadzwyczaj pięknej a co większa cnotliwej dziewicy posiadał nieoceniony skarb.

Magdalena wychowana w skromności i bogobojności była pociechą i pomocą rodziców. Nie znajdowała przyjemności w tańcach i zabawach jak rówienniczki jej, ale w modlitwie, w pracy i w dawaniu jałmużny. To też ubodzy i nieszczęśliwi zewsząd do niej po po-

moc dążyli i odebrawszy takową dobroczynność i miłosierdzie dziewicy po całem mieście i okolicy rozsławiali.

Młodzieńcy z zacnych i majętnych rodzin starali się o rękę Magdaleny, lecz ona była się już służbie królowej Niebios poślubiła. Co poranek i co wieczór Najświętszą Pannę gorąco błagała, aby jej łaski swej nie odmówiła, w prostocie serca swego ślubując być co raz cnotliwszem i godniejszem dzieckiem Maryi.

W owym czasie zapanowała w Erfurcie wielka drożyzna. Liczba ubogich co dzień się wzmagała aż do chaty Magdaleny zakołatał niedostatek. Z oszczędzonych zasobów czerpając wspierała ojca i ubogich. W krótce rozdała wszystko, co posiadała. Zaniepokojona mniej o siebie samą jak przeważnie, o nieszczęśliwych z tak wielkiem zaufaniem do niej przychodzących, rzuciła się na kolana i z całego serca Matkę Boską, tę Najdobrotliwszą Opiekunkę ubogich, o dalszą pomoc błagała. Modlitwa dziewicy została wysłuchaną.

Blaskiem niebieskim otoczona zbliża się do niej Najświętsza Panna, podaje jej sakiewkę przecudnej roboty i tak do niej przemawia: „Czyń tak i nadal jak dotąd czyniłaś, wierna służebnico, a w żadnej niedoli mej pomocy ci nie odmówię.“ Wzruszona Magdalena, dziękuje za wysłuchanie prośby; otwiera sakiewkę i ku największej swej radości znajduje w niej trzy dukaty. Czem prędzej biegnie do piekarza, zakupuje za cały jeden dukat chleba i rozdziela pomiędzy głodnych. Lecz któż opisze jej zadziwienie, gdy spostrzegła, że wydany na chleb dukat cudem do kieszonki powrócił.

Tak Magdalena dziennie prawie wszystkich ubogich miasta wspierała, chorych i ułomnych, którzy o własnych siłach do niej podążyć nie mogli, odwiedzała; a ile razy owe trzy dukaty wydała, tyle razy znów do niej wracały.

Gdy zaś drożyzna ustała, tysiące ludzi do domku tkacza się cisnęły, aby córce jego za liczne dobrodziejstwa podziękować.

Zapragnęła potem Magdalena życia Bogu poświęconego w zaciszu klasztornem i wstąpiła do zakonu. Wkrótce bogobojnością i dobroczynnością swoją zasłynęła. Później założyła klasztor w Erfurcie, w którym cudowna owa sakiewka przez długie czasy zachowaną była, aż w czasach zaburzeń wojennych zaginęła. Na miejscu tego klasztoru do dzisiejszego dnia kaplica stoi, na pamiątkę zacnej dziewicy kaplicą świętej Magdaleny zwana.

Praktyczne rady.

— **Odnawiania politury na meblach** Chcąc odczyścić i odpoliturować stare meble tak, aby pierwotnego koloru drzewa nie zmienić, należy przygotować płyn następujący: Rozpuścić na wolnym ogniu 2 części białego lub żółtego wosku w czystem naczyniu; do niego dodać 4 części czystej terpentyny i mieszać dotąd, aż zupełnie ochłodnie. Mieszanina ta, użyta zamiast zwykłej politury, przywraca drzewu barwę, którą przez czas utraciło, i nadaje mu piękny połysk.

— **Przeciw paczeniu.** Balsam kopaiwa działa bardzo dobrze, gdy użyjemy go przeciw paczeniu się drzewa. Nasyciwszy balsamem deski lub blaty drewniane, zabezpieczymy je od spaczania się pod działaniem wilgoci. Balsam może być także skutecznie użyty, gdy drzewo już się spaczyło, a wtedy przeciąga się nim stronę wypukłą, poczem niekiedy powraca do pierwotnego stanu.

— **Proszek do posrebrzania metalów.** 15 części przetopionej cyny, 15 cz. żywego śrebra (rtęci) utrzeć ze 120 cz. preparowanego rogu jeleniego. Posrebrzając przedmiot metalowy, należy go nacierać powyższym proszkiem, a postępowanie to wywoła wystąpienie na powierzchni przedmiotu powłoki barwy srebrzystej.

Rozmaitości.

* **O Chulalongkornie,** królu syamskim, obecnie podróżującym po Europie, opowiadają wiele anegdot i szczegółów z jego życia. Podobno przyboczna gwardya tego króla złożona jest z samych kobiet. Wybierają w Syamie 400 najpiękniejszych i najsilniejszych dziewcząt trzynastoletnich i uczą je różnych ćwiczeń wojskowych, przedewszystkiem władania bronią. Każda z dziewcząt służy w kordegardzie królewskiej lat 12, poczem wychodzi do rezerwy.

Król wstaje bardzo rano, o godzinie 5 jest ubrany i zabiera się do śniadania. Usługuje mu 12 kobiet na klęczkach; na srebrnych półmiskach podają mu ryż, owoce, ciasta i cygara. Po śniadaniu przychodzi do króla 199 kapłanów, którzy otrzymują resztki królewskiego śniadania. W Syamie duchowni nie mają żadnego uposażenia i żyją tylko z darów dobrowolnych. Król następnie udaje się z rodziną do świątyni, gdzie sam spełnia czynności kapłana. Zapala świece na ołtarzu, składa w ofierze liście lotusu, modli się i czyta w świętych księgach. Po godzinie modlitwy wraca do swoich apartamentów i aż do pory obiadowej oddaje się czytaniu ksiąg światowych i prowadzeniu korespondencyi. O godzinie 2 bierze kąpiel i udaje się do sali audyencyonalnej. Dwa razy na tydzień siada on, zwyczajem wschodnim przed bra-

mą swego pałacu i przyjmuje prośby i skargi poddanych. Dwa razy też tygodniowo przewodniczy tajemnemu trybunałowi, który się zowie San Luang i na którym torturują przestępców, skazują na więzienie, śmierć lub inne kary. Przy tych barbarzyńskich instytucyach istnieje wiele urządzeń nowożytnej cywilizacyi, wprowadzonych do państwa Syamu przez teraźniejszego króla: poczty i telegraf, kolej żelazna z Bangkok, szpitale i regularna armia, zreformowana na sposób europejski. Na króla wielki wpływ wywiera jego pierwsza żona, która podobno odznacza się wielką mądrością. We wszystkiem słucha jej rady i tak bardzo ufa w jej rozum, że nic nie przedsiębierze, nie naradziwszy się z nią pierwej. Właściwie można powiedzieć, że ona rządzi w Syamie.

* **Smoleński centra Smolenitz.** Konstansty Smoleński, znany dobrze przywódzca armii greckiej, ma brata, który niedawno był ministrem wojny. Stosunki rodzeństwa są jednak bardzo zaostrzone, tak dalece, że Konstanty przerobił końcówkę swego nazwiska, aby się nie nazywać: Smolenitz — tak jak brat. Poszło o farbowaną brodę. Minister wojny czernił ją, dla odmłodzenia się. Oburzało to Konstantego i postanowił go ośmieszyć i za pośrednictwem prasy wystosował do brata-ministra (sam był wówczas pułkownikiem) urzędowe pismo, z zachowaniem wszelkich formalności, w którem skarżył się na swoich podkomendnych, że od pewnego czasu farbują brody, zachowując się przez to jak komedyanci, nie zaś jak poważni obrońcy ojczyzny. Domagał się, aby minister wydał rozporządzenie, wzbraniające podobnego błazeństwa. Pismo pozostało, naturalnie, bez odpowiedzi, ale napsuło niemało krwi ministrowi i zaostrzyło jeszcze bardziej stosunek obu braci.

* **Nafta zamiast węgla.** Naftę jako olej ciężki trudno jest przewozić, a oprócz tego jest jej mało i droga. Dlatego nie używano jej do ogrzewania kotłów, choć daje więcej ciepła niż węgiel. Dopiero obecnie, jak donoszą dzienniki francuskie, miało się udać francuskiemu inżynierowi, pracującemu między Anglikami p. dr. Huneg'owi przemienić płynną naftę w ciało stałe. Tym sposobem będzie można używać nafty za materyał palny wszędzie tam, gdzie nie idzie o taniość, lecz przedewszystkiem o jak najwygodniejsze przewożenie jak największej ilości materyału palnego.

Stała nafta ma kształt cegiełek czarnego koloru, o powierzchni gładkiej, na której woda zatrzymywać się nie może. Nie ma z temi cegłami niebezpieczeństwa eksplozyi, nie kruszą się one i nie tworzą miału, jak węgiel, a wreszcie spalone nie zostawiają prawie żadnego popiołu. Nie śmierdzą przytem, ani podczas palenia się, ani przedtem, ani też nie wydają dymu, a ciepła dają o 75 prc. więcej niż węgiel.

Naftowe cegły, jeżeli prawdą jest że doświadczenia z nimi się powiodły, znajdą zastósowanie rozległe na statkach wojennych, na parowcach i na pasażerskich pociągach.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.